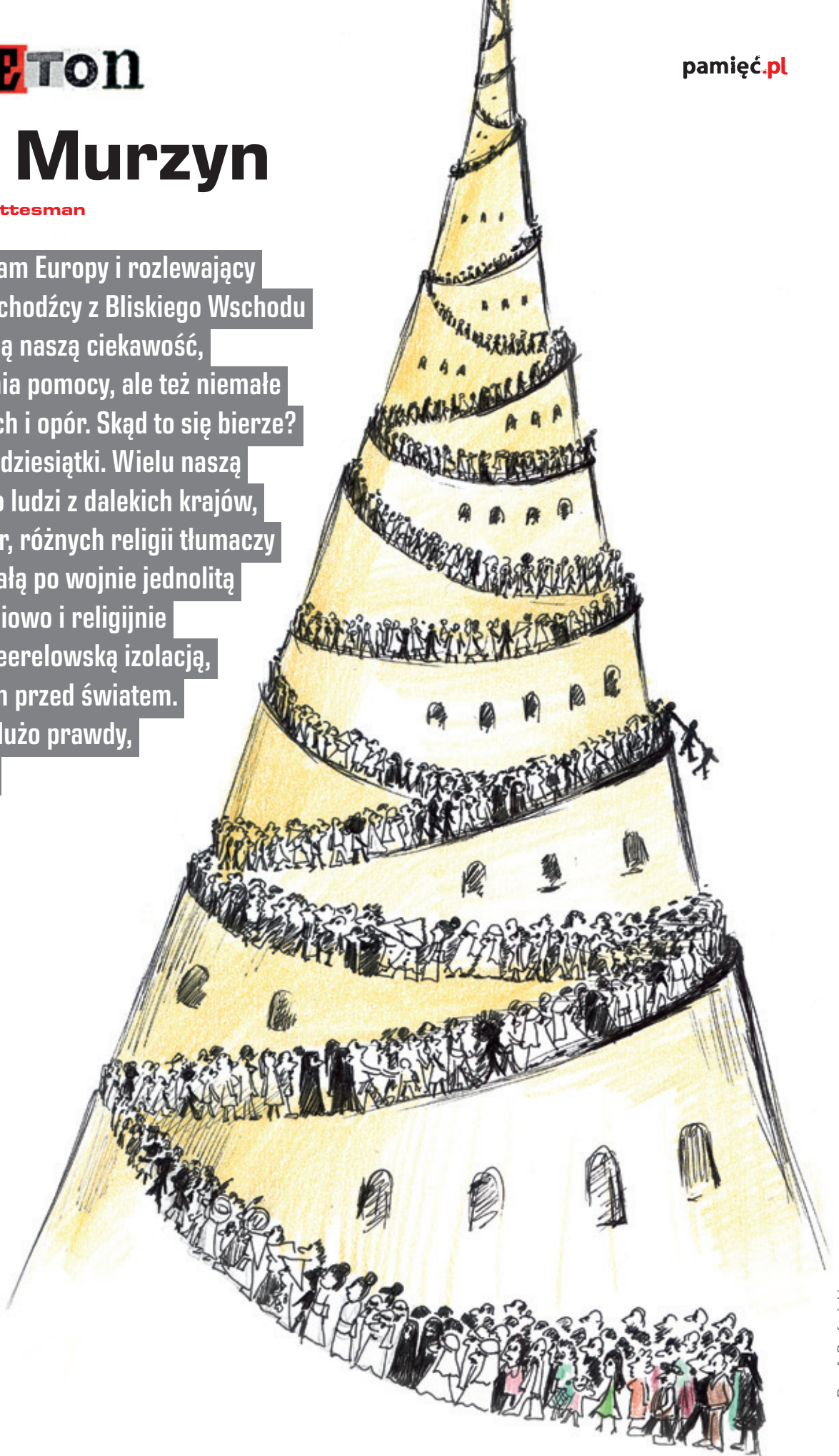


Pan Murzyn

Krzysztof Gottesman

Stojący u bram Europy i rozlewający się po niej uchodźcy z Bliskiego Wschodu i Afryki budzą naszą ciekawość, chęć niesienia pomocy, ale też niemałe obawy, strach i opór. Skąd to się bierze? Przyczyn są dziesiątki. Wielu naszą nieufność do ludzi z dalekich krajów, innych kultur, różnych religii tłumaczy także powstałą po wojnie jednolitą narodowościowo i religijnie strukturą, peerelowską izolacją, zamknięciem przed światem. Jest w tym dużo prawdy, ale nie cała.



Ulice polskich miast, place targowe, sale sądowe czy aule uniwersyteckie wyglądały po wojnie rzeczywiście zupełnie inaczej niż przed 1939 rokiem. Zniknęli przede wszystkim Żydzi, na okrojonym w Jalcie wschodzie nie było Ukraińców i Białorusinów, zewsząd uciekli Niemcy. W strachu żyli Ślązacy i mieszkający przed wojną w Prusach Wschodnich Mazurzy. Rządziej pojawiali się nad Wisłą cudzoziemcy. Rządziej, co nie znaczy, że w ogóle ich nie było.

To dawne, zapomniane raczej dzieje. Tym bardziej warte przypomnienia. Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku do naszego kraju przybyło kilkanaście tysięcy zorganizowanych uchodźców. Zorganizowanych przez komunistyczne władze, pod ich opieką i kontrolą. Przede wszystkim Grecy. Po wojnie domowej i przegranej partyzantki komunistycznej kilkadziesiąt tysięcy Greków – i Macedończyków – rozlało się po krajach bloku sowieckiego. Trafili również do Polski. Cała operacja była tajna, pieczę nad nią sprawowało wojsko. Nie było żadnej społecznej dyskusji, nikt nikogo o nic nie pytał. Najwięcej z nich, przeważnie prostych chłopów, umieszczono w Zgorzelcu, na Dolnym Śląsku, także w Bieszczadach. Najpierw w sanatoriach, domach wypoczynkowych, z czasem zapewniono im mieszkania, cały czas byli pod opieką medyczną i – oczywiście – polityczną. Im dłużej trwał ich pobyt, tym bardziej słabła kontrola państwa i izolacja, tym mocniej wsiąkali w polskie otoczenie. Wsiąkali, ale nie do końca. Pragnienie powrotu, nie tylko w pierwszym pokoleniu, było stałe i silne. Gdy w połowie lat siedemdziesiątych mogli wrócić do Grecji, większość z czasem podjęła taką decyzję. Jeszcze wcześniej Macedończycy w większości zdecydowali się na wyjazd do bliższej im Jugosławii. Do swoich. A niektórzy z tych, którzy zostali i uwolnili się z państwowej kontroli, stali się powszechnie znani. Piosenkarka Eleni, muzycy Milo Kurtis i Apostolis Anthimos, lekarz Nikos Tavlas, tenor operowy

Paulos Raptis, sportowcy. Gdy pojawiły się takie możliwości, wielu otworzyło restauracje, zaczęło robić interesy między Polską a Grecją. Funkcjonują w polskim życiu, w kulturze i nauce, jednak słabiej lub mocniej, ale zaznaczają swoją odrębność, podkreślają ją, także wykorzystują.

Niewielka część społeczeństwa ma świadomość istnienia greckich uchodźców sprzed ponad pół wieku – a to dzięki znanym twarzom, a także bliskości kulturowej i stałym kontaktom. Ale czy ktoś dziś wie o kilku tysiącach koreańskich dzieci, które na początku lat pięćdziesiątych przyjechały do Polski? To był czas wojny na Półwyspie Koreańskim, a dzieci były sierotami z komunistycznej Północy. Im Polska także udzieliła, tak jak Grekom, internacjonalistycznej pomocy sterowanej centralnie z Moskwy. I, tak jak wtedy, władze o nic nie pytały. Nawet więcej, koreańskie dzieci były otoczone naprawdę szczelnym kordonem, oddzielającym je od polskiej rzeczywistości. Mieszkały w zamkniętych ośrodkach, strzeżonych przez wojsko. Nikomu nie wolno było kontaktować się ze światem zewnętrznym, polscy lekarze i opiekunowie mieli zakaz rozmawiania o tym, co robią, nawet z najbliższą rodziną, a polskie dzieci nie miały wstępu na basen, gdy byli tam mali Koreańczycy, podobnie było w kinach, salach widowiskowych. O koreańskich dzieciach nie pamiętamy także dlatego, że tak jak nagle się pojawiły, tak nagle zniknęły. Gdy we wrześniu 1959 roku szykowały się do roku szkolnego, towarzysz Kim Ir Sen wezwał je do budowania ukochanej ojczyzny. I w ciągu kilku tygodni wyjechały. A naturalne przecież więzi (mimo wszystkich szykan i kontroli) między Polakami, koreańskimi dziećmi i ich nielicznymi opiekunami, zostały szybko i brutalnie urzędowo przerwane. Dziś nie wiadomo, co się stało z dziećmi, czy pamiętają. Pewnie nie. Tak jak bardzo niewielu Polaków o tym pamięta.

Władze PRL przyjmowały także – choć nie tak licznie – komunistycznych uchodźców z Hiszpanii, Portugalii, Ameryki Łacińskiej, Bliskiego Wschodu. Trzymano ich w „złotych klatkach”,

ograniczając kontakty do zaufanego grona, a długość pobytu uzależniano od koniunktury politycznej. Zwyczajni ludzie niewiele o nich wiedzieli, ale jeśli wiedzieli, to myśleli o nich jak najgorzej. Nie z powodu różnic etnicznych, kulturowych czy religijnych. Po prostu uważali ich przede wszystkim za darmozjadów, członków klasy rządzącej.

Mocniej i zdecydowanie bardziej sympatycznie utkwili natomiast w pamięci – i nie tylko – międzynarodowy Festiwal Młodzieży i Studentów, który odbył się w Warszawie w 1955 roku. To było coś niezwykłego w ówczesnej szarej i smutnej rzeczywistości. Stolica Polski, stojącej dopiero na progu odwilży ideologicznej, została zalana przez kolorowy, roześmiany, pragnący zabawy, rozmowy i kontaktów wielotysięczny tłum z całego świata. Dla naprawę bardzo wielu Polaków była to okazja to zobaczenia po raz pierwszy w życiu na żywo Murzyna, Araba, Chińczyka, porozmawiania – najczęściej na migi – z Włochem czy Holendrem. Choć w Warszawie zebrała się przede wszystkim młodzież z lewicowych organizacji powiązanych z Moskwą, to i tak szok – polityczny, kulturalny, obyczajowy – był ogromny. Pozostała po nim nie tylko życzliwa pamięć. Także rzeczywiste, jak najbardziej żywe dowody tej życzliwości. Dziewięć miesięcy po festiwalu akuszerki w Warszawie i innych miastach Polski zaczęły przyjmować na świat dzieci, w których rysach można było odnaleźć podobieństwo do niedawnych gości.

Bo komuniści nad niczym nie potrafili w Polsce do końca zapanować. Od końca lat sześćdziesiątych, szczególnie w dużych miastach, cudzoziemcy stawali się czymś coraz częstszym. Nie budzili obaw, przede wszystkim dlatego, że nie było ich wielu, nie stawali się jako grupa osobną częścią społeczeństwa. Zainteresowanie, owszem, było, ale życzliwe. Tak jak u sprzedawczyni w Domach Centrum w Warszawie, która do stojącego przede mną w kolejce czarnoskórego klienta z USA zwróciła się z życzliwością i naprawę bez ironii per „panie Murzynie”.

Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN